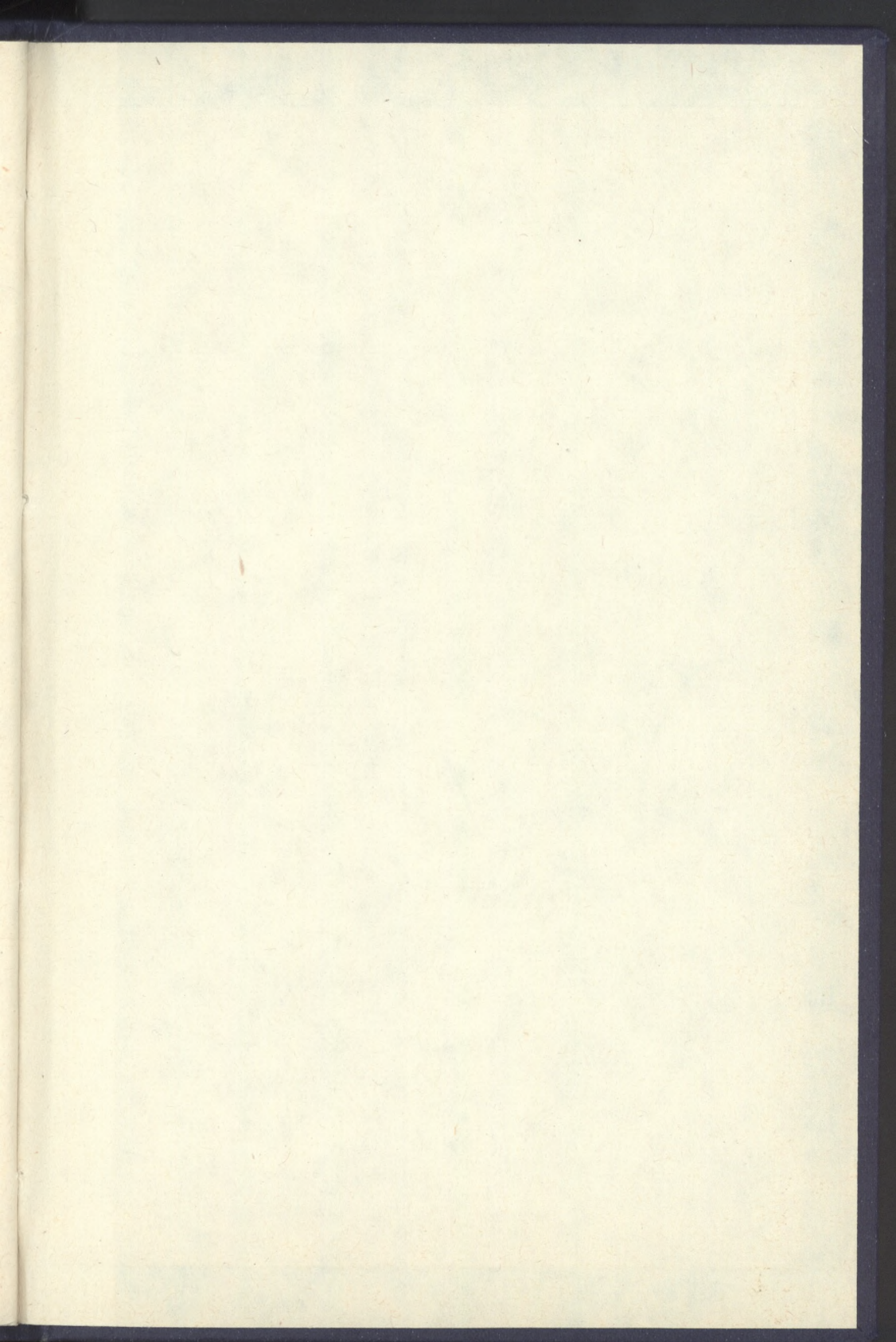
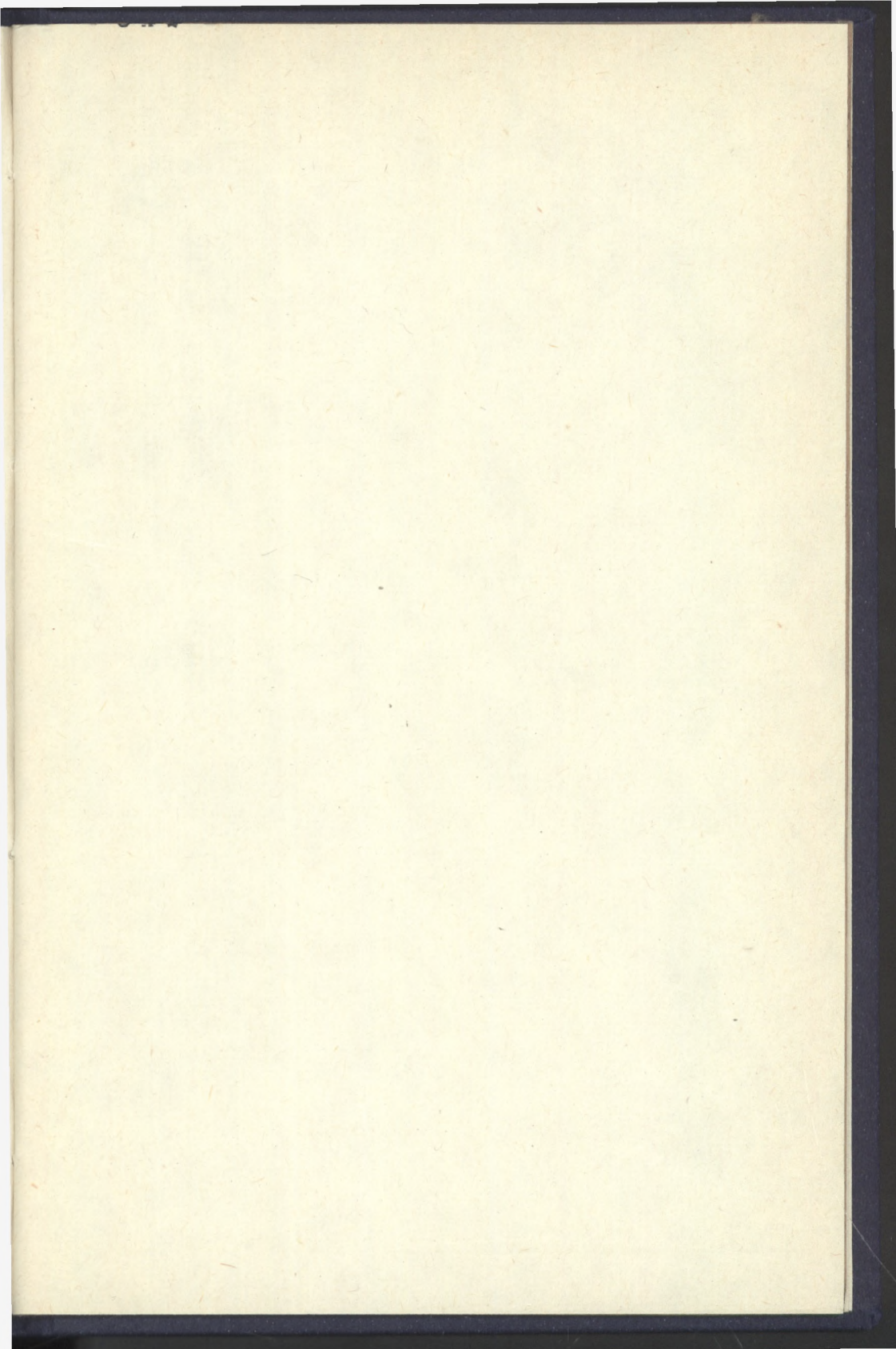


2019833





II 2049.300

70625

W SPRAWIE
PISOWNI POLSKIEJ.

A. Małecki.

70625

W. A. R. B. W. T. E.

1894-1895

A. K. M. C. H.

1894

3

O naturze Spółgłoski j

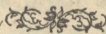
i praktycznych stąd następstwach

dla ortografii polskiej

przez

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

(Odbitka z „Szkół“.)



L w ó w.

Z drukarni E. Winiarza.

1868.

W. A. R. B. W. T. E.

1894-1895

A. K. M. C. H.

1894

3

O naturze Spółgłoski j

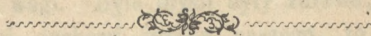
i praktycznych stąd następstwach

dla ortografii polskiej

przez

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

(Odbitka z „Szkoly“.)



L w ó w.

Z drukarni E. Winiarza.

1868.

są podzielone, gdzie twierdzenia między sobą są sprzeczne, tam tylko jedno z dwojga być może: albo jedno z tych twierdzeń są prawdą, a drugie fałszem, albo wszystkie mijają się z prawdą istotną. Faktyczna zatem pod niejednym względem anarchia w pisowni polskiej, jako polegająca na różnicach i sprzecznościach co do pojęć gramatycznych pomiędzy nami, składa mimowolnie nader niekorzystne świadectwo o całym ogóle polskim dzierżącym podziśdzien pióro. Upoważnia do przypuszczenia, że albo wielka część piszących, albo wszyscy nie rozumiemy wcale właściwości polszczyzny. Prócz tego stanąby mogła za dowód, żeśmy już ludźmi którzy się w niczem nie mogą zgodzić na jedno; że umysłowe lenistwo nasze dochodzi takiego stopnia, i żeśmy wyobrażeń naszych o rzeczach naszych własnych, nawet najważniejszych, nie potrafili dotąd wyrobić do takiej zgodności z prawdą, iżby chyba tylko ograniczony i niepoprawny upor przeczył temu, na co się zresztą wszyscy zgodzili...

Pocieszającą wprawdzie jest rzeczą, że co tu mówię o szkodliwości tego niedostatku w piśmienniczej praktyce naszej, świadomie lub instynktowo czuje z nas każdy. Na dobrej chęci nie zbywa u nikogo. Chcielibyśmy wszyscy wyjść coprędzej z tego nieładu. Ale pomimo téj dobrej woli, poprawy złego nie widać. Nie jesteśmy nawet na drodze, któraby wiodła niewątpliwie do celu. Zamiast metody i niezbędnej w razach podobnych karność — widać tu tylko dorywcze, z jak najróżniejszych punktów wyjścia i na oślep podejmowane, a najczęściej samowolne eksperymentowanie nad tym biednym językiem naszym, jak gdyby to była owa *anima vilis*, nad którą godzi się pozwalać sobie takich na chybi trafi doświadczeń. Wszyscy bez wyjątku, upoważnieni i nieupoważnieni, uważamy się za powołanych do tego, ażeby niedogodności, o których tu mówimy, uchylać. Ale właśnie przeto, że się wszyscy rwiemy do téj na pozór tak łatwej, a w istocie tak trudnej rzeczy, odraczamy ujednolajnienie i zasadnicze uregulowanie ortografii polskiej do coraz dalszej przyszłości. Nietylko każdy prawie autor gramatyki i gramatyczki za obowiązek sobie poczytuje, ażeby się przed narodem koniecznie nowymi konceptami własnego wynalazku co do pisowni popisać, ale nawet zdarza się czasem, że zawierujące się redakcyje popularnych pisemek peryodycznych albo też redakcyje gazet, mądrych może w zakresie polityki, lecz nie w czém inném, nieraz z ludzi złożone, którzy nad lingwistyką nigdy nie pracowali, którzy nawet poprawnie i bez germanizmów po polsku pisać się jeszcze nie nauczyli,

kują sobie albo eklektycznie z najróżniejszych doktryn układają swój własny system pisowni. Otacza je niebawem małe koło ich czytelników i przypadkowych współwyznawców w politycznym kierunku. Chociażby nawet téj zbieranej drużynie w pierwszej chwili nie były wcale do smaku owe nowości językowe, jakie się w nowym organie tym praktykować zaczęły, to codzienne téj praktyki widzenie mimowoli do tego wiedzie, że się do niej zwolna nałogowo przywyka, że się ją z czasem przyjmuje i samemu za panią matką nakoniec pacierz mówić poczyną. A że takich pism i pisemek peryodycznych i takich kółek poszczególnych ich zwolenników, na nieszczęście samego dziennikarstwa zawsze u nas jest więcej, niżliby potrzeba prawdziwa wymagała: rozstrzelanie przeto wyobrażeń w czytającej publice staje się nieuchronne; i nie ma nawet w oddaleniu widoku, żeby kiedy nastąpić mogło na téj drodze powszechne porozumienie. Gdyby u nas było i być mogło jakie pismo czasowe głównie czytowane przez wszystkich, i gdyby w tém właśnie piśmie była przestrzegana prawdziwie racjonalna i do rzeczywistego ducha naszego języka w możliwych granicach zastosowana pisownia: bardzo łatwo i wcześniej spotkalibyśmy się wszyscy i pod tym względem na jednej drodze. Lecz to są w położeniu naszym marzenia, których nawet w nadziei oczekiwać nie można. Z téj strony ortografia nasza spodziewać się niczego nie może.

Z innéj strony dawały się znowu już nieraz i dają jeszcze i teraz słyszeć głosy, że ustalenie pisowni polskiej, jakaby być powinna, nastąpi dopiero wtedy, kiedy się tą sprawą zajmie jakie ciało uczone, jakaś zbiorowość powag i literackich znakomości narodu. Przed wyrokiem takiego dopiero areopagu schyli głowę każdy kierujący się jak dotąd własnym instynktem i przyjmie, co ten areopag zaleci. Że oczekiwanie czegoś podobnego jest albo dobroduszném tylko siebie i drugih ludzeniem, albo też arcywygodną chyba wymówką lekko-myślności, z jaką przez czas jak najdłuższy trwać by się chciało przytém, do czego się raz nałogowo przywykło, tego dowodzić podobno nie potrzeba. Najprzód bowiem areopagu takiego nie ma podziśdzień nigdzie pomiędzy nami, a jeżeli w czém go nie ma, to w lingwistycznych robotach. A potem — czy dziś są czasy i duch całego społeczeństwa po temu, żeby się indywidualne rozумы chciały w czémkolwiek poddawać kierunkowi, przez kilku ludzi moralnie z góry nadawanemu?...

Mnie się zdaje, że przyjdzie do ładu ze sprawą, którą tu wytaczamy, dokonane być może jedynie w zakresie szkół, a dopiero za tych pośrednictwem — w przyszłości — i w szerszych kołach społecznego działania. Z ludźmi starszymi, zajętymi każdy swoim zawodem i przyzwyczajonymi do raz przyjętych wyobrażeń, trudno bardzo się porozumieć. Literat z profesyi, zwłaszcza jeśli już jest autorem dzieł drukowanych, a choćby tylko ulotnych świstków lub artykułów w jakim dzienniku — ten po największej części do gramatyki nowo się pojawiającej nie zajrzy! Cóżby tam w niej mogło być téż takiego, czegooby jeszcze i on nie wiedział? Nie ma tedy wcale podobieństwa przemówić do takich osób. Nie ma się z nimi gdzie spotkać w celu poważniejszej rozmowy. Nawet krótsze artykuły lingwistycznej treści, zdarzające się czasem w czasopismach literackich, w fejletonach gazet itp. także chybiają zupełnie celu. Wywołują ze strony większej publiczności tylko protestacye przeciw oschłości przedmiotu. A ci, dla których wprost są pisane, nie czytają ich wcale. Nie dziw zatem, że wszelkie kroki, wymierzone w celu poprawy lub przynajmniej ujednostajnienia ortografii do osób, od których wprowadzenie w życie téż poprawy bezpośrednio zależy, dotąd pozostały bez najmniejszego skutku. Ale jeżeli baczność zwrócona zostanie na młodzież, z której kiedyś przyszłe generacye pisarzy i dziennikarzy powstaną, i jeżeli się tę młodzież już w szkołach od pierwszej chwili przekona, nauczy i przyzwyczai do rozumnych a na cały kraj jednoznacznych zasad gramatyki i ortografii: to nie ma wątpliwości, że jak dzisiejsi starsi uporeczywie trwają przy swoim, tak i tamci nie popuszczą tego, do czego się za młodu pod naszym stérem przyzwyczaili. I tylko na téj drodze nastąpić kiedyś może, czego sobie w sprawie piśmiennictwa wszyscy tak powszechnie, choć tak dotąd nadaremnie życzymy.

Pierwszy krok do tego jest już zrobiony. Punkt wyjścia stanowczy w kierunku wskazanym mamy. Po wszystkich gimnazyach Galicyi nauka ojczystego języka bywa udzielana podług jednego systemu, opartego na zasadach wyprowadzonych z samej natury tegoż języka i odpowiednich stanowisku lingwistyki, jakie obecnie w całym świecie naukowym popłaca. Chodzi tylko jeszcze o to, ażeby osoby, którym jest powierzona ta część nauki, same się przejęły duchem tego systemu; ażeby ich przekonania solidarnie i gorliwie i umiejętnie się zespoliły z osnową książki, podług której wykładają swój przedmiot.

Owoż właśnie w tym celu, ażeby życzenie powyższe zamieniło się w rzeczywistość, postanowiła redakcja Szkoły w obrębie tego pisma wywołać i utrzymywać jak najżywszą dyskusyą o rzeczach, które w gramatyce polskiej po szkołach naszych dziś używaną do spornych lub wątpliwych punktów należą. Autor tej gramatyki sam gorąco sobie życzy takiej dyskusyi. Daleki on jest od mniemania, żeby w dziele jego nie miało być miejsc nie dość jasnych, spostrzeżeń nienależycie jeszcze zgłębionych, a nawet i wyprowadzonych czasem z mniej właściwego może punktu widzenia. Niewątpliwie pokaże się przy gruntownej analizie niejedno, co w przyszłej edycji inaczej będzie musiało być wyłożone. Ażeby jednak mogło przyjść do takich rzeczywistych ulepszeń dzieła przyjętego za podstawę nauki w tym przedmiocie po szkołach, trzeba w tym zakresie jak najczęstszą wymianę myśli z całą swobodą pracom podobnym należną. W każdym razie wątpliwości podlegać to nie może, że każdy rozważny zarzut i zarzutu onego rozbiór doprowadzi tu do wyniku, który się obróci na pożytek powszechny. Albo wpłynie, jak się rzekło, na zmianę i poprawę dotyczącego twierdzenia w książce, albo też w razie, jeśli się zarzut ten niezgodnym z umiejętną prawdą okaże, rozwieje przynajmniej powątpiewania, które gdzieś tam czy to dla trudności przedmiotu, czy dla niedość wyczerpującego w gramatyce wykładu, obecnie może się utrzymują z pewnym pozorem słuszności i stanowią przyczynę szkodliwej pod każdym względem różnicy stanowiska między nauczającym a książką, podług której naucza. —

Ażeby innym dać dobry przykład w kierunku, który wskazuję, w zeszycie niniejszym sam rozpoczynam krytykę méj gramatyki. Mianowicie zganić sobie tym razem surowo muszę zwięzłość zbyteczną, z jaką w niej oświadczyłem się za pisaniem wyrazów, jak *moi*, *kolei*, *stoi*, przez samo *i*, a nie przez *ji*. Odwołałem się w dziele mojem w dotyczącem rzeczy téj miejscu, t. j. w §. 25, do samego tylko zwyczaju; a zaniedbałem dodać, co koniecznie należało dołączyć, t. j. czy ten zwyczaj zgodny jest z istotnymi zasadami języka, czy też raczej przeciwny racjonalnej pisowni? — „Na mocy przyjętego raz na zawsze zwyczaju w naszej pisowni (tak brzmi rzeczony paragraf) nigdy dwugłoski *ji* inaczej piśmiennie nie wyrażamy, jak przez pojedynczy znak *i*; np. *kolei* (zamiast *koleji*), *nadziei* (*nadzieji*), *twoi* (zamiast *twoji*), *boi się* (*boji*) itd. Dlatego też zupełnie niepotrzebnie pisać chcieli

niektórzy *jich, jim, jinny, Juliji, liliji* itd.“ — Otóż i wszystko, com tam powiedział o tém tak ważném, a jak się obecnie pokazuje, wielce sporném i teraz jeszcze pytaniu. Ażeby tedy wynagrodzić, com tam zaniedbał, podejmuję rzecz tę obecnie na nowo i stawiam sobie przy téj sposobności do załatwienia wszystkie pytania będące z rzeczą tą w związku. Jest ich zaś trzy:

1. Czy pisać *kolei, moi, stoi?* czy *koleji, moji, stoi?*
2. Co rozumieć o pisowni wyrazów: *jistotny, jigła, jich?*
3. Wyrazy cudzoziemskie, jak *tragedya, religia, Hiszpania*, czy tak, jak je tu napisano, czy téż przez *yja, ija*, czy wreszcie przez samo *ja* pisaćby się powinny?

Mam o każdym z tych trzech pytań do powiedzenia niejedno, co do rozjaśnienia materiału gramatycznego w ogóle nie będzie może zupełnie bezużyteczném, a czego, chcąc uniknąć rozwlekłości, w gramatyce mojej nawet większej nie rozwinąłem: dlatego więc te wszystkie punkta tutaj ponownie za jednym razem poruszam. Całe ich ujęcie zależy właściwie od trafnego zrozumienia, coto za głoska jest *j*? A że i ten punkt pobieżnie tylko jest traktowany w méj gramatyce, przeto i na niego także zwrócę uwagę w miejscu niniejszej rozprawy koniecznie wymagającém uzupełnienia rzeczowej niedokładności.

Co się tyczy pierwszego zagadnienia, wiadomo, że zwolennicy zupełniejszej, a raczej rozwleklejszej pisowni, przez *j* (*nadzieji, mojich*), w taki sposób racyi swojej dowodzą: Ostatnią głoską tematu czyli źródłosłowu *kolej, moj, łoj* itp. jest *j*, zupełnie w takim sensie, jak nią w źródłosłowie *sol* jest spółgłoska *l*, a w źródłosłowach *tań* i *bań* *ń*. Jeżeli za dodaniem do tych źródłosłów samogłoski *i*, powstają z nich wyrazy *sol-i, tań-i, bań-i*, w których, jak widzimy, ostatnie głoski tematów pozostały zachowane w wyrazie: to też to samo być musi i z tamtymi źródłosłowami. *Kolej-i, moj-i, łoj-i*, daje zatem oczywiście *koleji, moji, łoji*, a nie *kolei, moi, łoi*. Bo jeżeli w tamtych ani *l* ani *ń* przed *i* nie zaginęło, to téż i tutaj przed *i* zaginać *j* nie może. Należy przeto to *j* koniecznie i wymawiać i pisać we wszystkich takich wyrazach; a ci, co tego nie czynią, błędzą i gdyby chcieli być ze sobą samymi konsekwentni, musieliby chyba i tamte wyrazy pisać i wymawiać *soi, tai, bai*, a nie *sol-i, tań-i, bań-i*.

Wywód ten jest najzupełniej logiczny. Ażeby zaś był nietylko logicznym, lecz i prawdziwym, braknie mu tylko jednego jeszcze warunku. Warunek ten natenczas będzie osiągnięty, jeżeli kto dowiesć potrafi, że stosunek spółgłoski *j* do samogłoski *i* w jakiegokolwiek analogii zostaje ze stosunkiem spółgłosek *l*, *ń* i wszystkich innych tym podobnych, do *i*.

Otóż z całą stanowczością wyrzec tu muszę, że analogii żadnej nie ma tu wcale. Natura spółgłoski *j* jest zupełnie odmienna od wszelkich innych miękkich spółgłosek. Co przeto o tych ostatnich jest prawdziwem, nie koniecznie jest prawdą w zastosowaniu do *j*.

Że *j* w szeregu wszystkich spółgłosek coś zupełnie wyjątkowego stanowi, to widać jasno już na pierwszy rzut oka. Jak wiadomo, każda nasza spółgłoska jest albo twarda albo miękka. Każdej twardej odpowiada przynależna jęj miękka, z nięj pochodząca; i na odwrót każdej miękkiej odpowiada jakaś twarda, od której ona pochodzi. Tylko *j* stanowi tu wyjątek. Jest ono miękką spółgłoską, ale taką, że swojej twardej, od którejby pochodziło, nie ma wcale! Nie dość na tém. Spółgłoska *j* ma i inne jeszcze szczególne właściwości, których nie posiada żadna inna spółgłoska. Ma władzę miękczenia każdej twardej spółgłoski, jeżeli się o nią oprze. Tęj własności nie podziela z nią żadna inna spółgłoska. Są wprawdzie niektóre samogłoski, które tę władzę z natury mają. Ale spółgłoski nigdy! Wprawdzie zdarzają się wypadki, że jeżeli po syczących *s*, *z* następują jakie inne miękkie spółgłoski, to je na *ś* i *ź* po największej części zmiękczają; np. *hałaśliwy* powstało z *hałasliwy*, *źli* zamiast *zli* (obacz §. 83 méj Gramatyki). Lecz to są raczej asymilacye, niż właściwe zmiękczenia. Zresztą zmiękczenia te dokonywają się tylko na dwóch rzeczonych syczących spółgłoskach, a nie na wszystkich; a *j* ma władzę zmiękczać każdą twardą. — Nie dość i na tém nawet! Głoska *j* objawia odrębność wyjątkową całej swojej istoty i przez to wreszcie, że po dokonaniem zmiękczeniu, zlewa się z ową zmiękczoną głoską w jedno brzmienie, a samo jako coś odrębnego znika zupełnie z oczu i głosu. Np. forma *gołę* powstała z *gołję*. Tu *łij* zlały się w jedno brzmienie i tak powstało miękkie *l*. A *j* jako *j* znikło z oczu.

Może w poczuciu, choć pewnie nie w świadomości tych wszystkich głosowniowych przymiotów spółgłoski *j*, chcieli ją niektórzy z naszych dawniejszych gramatyków za samogłoskę uważać. Inni znowu

wprawdzie przyznawali j^{ej} znaczenie spółgłoski, ale tylko pochodnej; z powodu czego teoretycy przeciwnego obozu z wielkim przyciskiem dowodzili znowu przeciwnych twierdzeń. Jakież jest nasze stanowisko w tym sporze?

Niezawodnie jest *j* spółgłoską, i to spółgłoską w obec innych spółgłosek równie pierwotną, jak one; gdyż nie można wskazać żadnej spółgłoski, od którejby *j* jako od sw^{ej} pierwotnej pochodziło. Jeżeli jednak chodzi o wskazanie pierwszego i że tak powiem zarodowego j^{ej} początku, to takowy sięga niezawodnie po za sferę spółgłosek. Wszelka analiza j^{ej} wewnętrznej istoty prowadzi do przeświadczenia, że to nic innego, jak tylko skonsonantyzowane *i*.

Jot jest że tak powiem przejściem między samogłoską a spółgłoską, punktem pośrednim i niejako neutralnym między jedną sferą a drugą. Podobnym przejściem i zlewem dwojga natur są także samogłoski nosowe, które będąc samogłoskami, mają w sobie jednakże już i przymieszkę spółgłoskowej istoty. Tylko że nosowe samogłoski pozostają jeszcze stanowczo w obrębie i po stronie samogłosek; a jot daje odwrotnie przewagę drugiej stronie i już miejsce zajmuje w rzędzie spółgłosek.

Samogłoski wymawiają się bez pomocy poszczególnych narzędzi do mówienia służących, przez samo tylko wydanie głosu kanałem mownym, który w krtani się poczyną, a u ust kończy. Spółgłoski przeciwnie wymawiamy za poruszeniem i właściwem użyciem owych poszczególnych narzędzi.

Ażeby wyrobić całą skalę samogłosek, jakie w mowie naszej mamy, musimy kanał mowny już to spłaszczać i zwężać, już przeciwnie okraglejszym czyli przestworniejszym go czynić. Samogłoska *a* powstaje w kanale jak najkrągłej i jak najotworzyściej uformowanym; w znacznie już bardziej spłaszczonym wyrabia się *e*; *i* zaś jest ostatecznym kresem, aż do którego spłaszczenie ono dojść może. Kiedy wymawiamy *i*, nasz kanał mowny tak jest spłaszczony, że górna jego ściana (podniebienie) i dolna (język) tak są zbliżone do siebie, iż gdyby o włos jeden zbliżenie to jeszcze dalej posunąć, gęba byłaby zamknięta. Owoż dopóki w kanale tak ułożonym, bez poruszenia żadnego z poszczególnych narzędzi mownych, w stanie zupełnego spoczynku języka i podniebienia, głos wydajemy: dopóty brzmi samogłoska *i*, i płynie wzdłuż w nieskończoność jak linija matematyczna. Skoro tylko zaś w tymże samym zresztą kształcie i składzie kanału zrobimy najmniejsze drgnienie

językiem poprzek, natychmiast słyszymy brzmienie już nie samogłoski *i*, ale joty. Jestto zatem spółgłoska, wyrabiająca się na tymże samym że tak powiem warsztacie, co *i*; jestto brzmienie fizyologicznie zgoła to samo co *i*: tylko że *i* wyobraża samogłoskową modyfikacją tego brzmienia, a *j* spółgłoskową, t.j. tamto brzmień może w nieskończoność i płynie wzdłuż, a to ma brzmienie momentalne, przecięte i że tak powiem poprzeczne. W ten tylko też jedynie sposób pojąć się daje, że *j* ma władzę zmiękczenia poprzedzających twardych spółgłosek. Ma ją o tyle i tylko przeto, że jest to własnością i brzmienia *i* jako samogłoski wyrabianej w tak spłaszczonym kanale mownym, że żadna twarda spółgłoska w swojej pierwotnej czystości nie daje się wymówić w tym składzie gęby i chcąc nie chcąc przybiera w nim inne brzmienie, które właśnie zmiękczeniem jęj nazywamy.

Daliśmy dowód zarodowej tożsamości samogłoski *i* i joty ze stanowiska fizyologii. Dodajmy do tego kilka słów jeszcze z etymologicznego punktu widzenia. Spojrzmy np. na nasze wyrazy *ujść*, *zajść*, *wejść*. Powstały one z form *uiść*, *zaiść*, *weiść*, które w skutek zwawego ich wymawiania, jednozgłoskowie, tak się przeformowały, że z samogłoski *i* wyrobiła się jota. Otóż w tém naoczny przykład, gdzie, jak i z czego spółgłoska ta powstaje. Albo zwróćmy uwagę naszą na wyrazy *joński*, *jambus*, *judzki*, itp., które w greckim języku, z któregośmy je wzięli, *ioński*, *iambus*, *iudzki* się wymawiały. I tutaj, jak tam, *j* stoi w miejscu *i*, i z niego to się wyrobiło.

Po tém zboczeniu, którego rezultat wielkiéj jest doniosłości w zakresie całej głosowni, wróćmy do praktycznego pytania, któreśmy poruszyli. Czyśmy powinni — czy może m y, choćbyśmy chcieli, wymawiać *mojich*, *koleji*, *stoi*? — Zobaczmy!

Ażeby wymówić *j*, muszę tak kanał mowny czyli gębę ułożyć, jak gdybym chciał wymówić *i*, i potem dopiero, razem z wydaniem głosu, robię poprzek poruszenie językiem, które z tego miejsca wydobywa *j*. Innemi słowy: ażeby wymówić *j*, muszę językiem od stanowiska *i* zacząć i iść po za to stanowisko. W taki tylko bowiem sposób konsonantyzuję owo *i* wzdłuż jak linija płynące, i pochwytnąć jeden moment, niejako jeden punkt z niego, nie domawiam już reszty linii, przez co właśnie otrzymuję *j*, a nie *i*. Otoż niepodobieństwem to jest fizyologiczném, żeby w kombinacji *ji* mógł czy to słyszeć czy wymówić *j*



przed *i*. Jeżeli chodzi np. o wymówienie wyrazu *moich*: to od *mo* idę do *i*. Zanim do tego *i* dójdę, żadną miarą nie mogę spotkać że tak powiem po drodze *joty*; gdyż żeby ją spotkać i wymówić, musiałbym wprzód być już na tém miejscu językiem, gdzie się *i* wymawia, a ja dopiero idę do tego miejsca. Tożsamo w wyrazie *kolei*. Po wymówieniu zgłoski *le* idę do *i*. Między *le* a *i* nie może być żadnej w pośrodku *joty*; bo żeby ją otrzymać, trzeba wprzód być na warsztacie produkującym *i* i z niego sobie dopiero skonsonantyzować *jotę*. A ja dopiero dążę do tego warsztatu!

Pokazuje się zatem jasno, że we wszystkich takich razach, gdzieby się zdarzać miała kombinacya tych dwóch głosek tuż przy sobie i w tym położonych porządku, to jest *j* i *i*: zawsze tam *ji* spływa na *i*, tak iż dwa te na pozór brzmienia tylko jedno stanowią; a stanowią jedno brzmienie nie pozornie, nie fonetycznie, nie na mocy przyjętego zwyczaju, lecz w samej istocie rzeczy i z fizyologicznej konieczności. Brzmienie *moji* jestto prawdziwe monstrum, jestto fizyologiczne niepodobieństwo. Ktoby je tak chciał wymówić, musiałby się do wymówienia zgłoski *i* po *mo* dwa razy niejako zasadzać i zapędzać językiem, najprzód momentalnie do wydobycia *j*, a potem trwale dla wygłoszenia *i*. Takie tremolando, taka drgawka jest przeciwną nie tylko gębie polskiej, ale i każdej! Jestto coś, jak kiedyby kto żądał, abyśmy ścisnawszy wargi do kupy i nie rozejmując takowych, wymówili bezpośrednio po sobie dwa *p* albo *b*. Wprawdzie w skutek uczenia się najrozmaitszych języków mamy my tyle już wyrobionej gimnastyki fonetycznej w naszych narzędziach mownych, że w ostatecznym razie potrafilibyśmy wymęczyć z siebie i takie brzmienia, jak *moji*. Ale czyby była w tém jaka dźwięczność lub naturalność? Jeżeli język nasz w ogóle unika zbiegu dwóch brzmień tychże samych po sobie, nawet w tych razach, gdzie takowe rzeczywiście zachodzą; jeżeli np. wszystkie takie cudzoziemskie wyrazy, jak *mappa*, *summa*, *affekt*, *kommissya*, itp. przez jedno tylko *p*, *m*, *f* i *s* wymawiamy i z rozkazu wszystkich niemal gramatyków pojedynczemi literami piszemy: to dla czegożbyśmy mieli tylko przy tamtęj drgawce tak uporczywie obstawać, która jako się okazało, nie tylko jest przykrą i wymuszoną, lecz nawet zgoła i wyimaginowaną! Bo niech sobie zwolennicy tój pisowni mówią, co im się podoba: nie przekonają oni nikogo, żeby ktokolwiek w narodzie naszym przez ich teorią na drodze dopiero sztucznej do tego nie nakłoniony miał wymawiać *koleji* albo *mojich*. Naród cały tego tak nie wymawia i nie może wymawiać, bo

to przeciwne i gębie ludzkiej i samej istocie joty i w ogóle całemu stosunkowi tej spółgłoski do brzmienia *i*, z którego ona idzie. Użycie joty przed samogłoską *i* do tego stopnia jest wstrętném duchowi języka, że nawet w razach rozziewu czyli hiatu, który zazwyczaj się uchyla przez wtrącanie joty w miejsce rozziewne, w wypadkach jak obecne nigdy środka tego nie używamy; lecz albo rozziew tu uchylamy wtrąceniem spółgłoski *n*, albo się wreszcie uciekamy do zgoła innych sposobów. Tak np. formy *wy-iść*, *z*n*-iść* itp. nie dają tego, czegoby nie jeden oczekiwał, t. j. form *wy*j*iść*, *ze*j*iść*, lecz albo *wy-n-iść*, *z*n*-n-iść* (*zniść*), albo *wy*j*iść*, *ze*j*iść*. W ostatnich formach widzimy zamianę podtrzymującej pierwiastek samogłoski *i* na *j*. Jest to fakt w całej głosowni prawdziwie niezwykajny, żeby samogłoska pierwiastka osłabiała się na spółgłoskę; nazwać go można rzeczywiście heroiczném lekarstwem przeciw kakofonii wyrazu. A jednak miłszy jest duchowi języka naszego i ten nawet heroizm, niż monstrualność form takich, jak *wy-j-iść*, *ze-j-iść*. Bo wtrącanie (skądinąd tak zwykle) joty dla usunięcia rozziewu, jestto środek ułatwiający wymowę i umilający brzmienia wyrazów. A tu byłoby ono przeciwnie środkiem utrudniającym i prawdziwą dla języka zawalidrogą.

A zatem? — Czy powiemy i teraz jeszcze, że są w naturze mowy naszej zgłoski *ji*? Czy je naród wymawia? czy je zna? i czy powinny się pisać?

Ludzie uparci i ślepo obstający przy swoim odpowiedzą oczywiście, że choćby ich wreszcie i nie wymawiał, to jednak i w takim razie pisać je trzeba. Bo... dwa a dwa są cztery! t. j. bo jeżeli dodaje do źródłosłowu *moj* zakończenie *ich* to muszę, wbrew wszystkiemu na świecie, otrzymać z tego koniecznie *mojich*. A ponieważ w języku naszym nie tyle się zważa na fonetykę, ile na etymologią, i ponieważ niedorzeczném jest prawidło, przez niektórych za najwyższy postulat ortografii głoszone: „tak pisz, jak wymawiasz!“ więc i tu wymawianie na pisanie wpływu wywierać nie może...

Przeciw takiemu wyrokowi ja tylko tyle odpowiem. Nie zaprzeczam bynajmniej fałszywości rzeczonego prawidła, gdyby się posuwać takowe miało do bezwzględnej ostateczności. Ale nie mogę dopatrzeć też wielkiego rozumu i w ostateczności odwrotnej. Zresztą tu nie chodzi o wybór pomiędzy etymologią a fonetyką, ale pomiędzy etymologią a fizyologią języka, wobec której i sama etymologia właściwie nic nie znaczy.

Nie wymagam, żeby pismo było zawsze ślepą fotografią ustnej wymowy. Ale nie widzę też rozsądnej przyczyny, dlaczego by umyślnie i jakby na przekorę istotnej prawdzie, właśnie się przeciwieństwo tego miało dla oka wyobrażać, co rzeczywiście jest. *Moich* a *mojich* brzmi bowiem w każdym razie inaczej. *Mojich* ma takie brzmienie jakie słyszymy w zbiegu dwojga wyrazów, jak np. *tój-istoty*, albo jakie jest w superlatywie *naj-istotniejszy*, w którychto obu razach *j* należy do innej zgłoski, a *i* do innej. Jeżeli zaś w *mojich* należy *j* i *i* do jednej zgłoski; jeżeli właśnie przeto nie *mojich* ale *moich* się mówi: to też nie mogę tego nazwać inaczej, jak tylko szczególną chyba oryginalnością umysłu, wybierać zawsze z *mojich* i *moich*, kiedy chodzi o wymówienie, drugie, a kiedy chodzi o odmalowanie tego piśmienne, pierwsze! Jaki cel tego? Tayllerand powiedział, że na to Bóg człowiekowi dał mowę, żeby nią prawdziwych myśli swoich ... nie wypowiadał. Mamyż i my być w ortografii Tayllerandami? Chyba!

Przystępuję teraz do drugiego pytania podjętego w artykule niniejszym, t. j. co rozumieć o pisowni wyrazów, od samogłoski *i* się poczynających, przez *ji*? np. *jinny*, *jiemie*, *jich*, *jigła* i t. p.

Jeżeli chodzi o odpowiedź na to pytanie z mojego stanowiska: to już to wszystko, co się powiedziało w zakresie zagadnienia pierwszego, wystarcza, żeby pisownię podobną uznać za zupełnie błędną. Boć jeżeli nawet w tych razach, gdzie ów mniemany zbieg *joty* i *i* przypada na środek wyrazu, i gdzie niejaki sylabizacyjny pozory, któreśmy do arytmetycznego „dwa a dwa są cztery“ przyrównali, za tém przemawiać się zdają, żeby tam onę dwoistość brzmienia przypuszczać — jeżeli mówię nawet w takich razach pisownię taką zganić byłem zmuszony: to tém bardziej zganić ją muszę w tym razie, gdzie się wyraz od *i* poczyina. Tu bowiem nie ma nawet owego sylabizacyjnego pozoru przyczyn, dla którychbyśmy jakieś jot przed *i* przypuszczali.

Ale to nie wystarcza! Tu zależy na wszechstronném rozebraniu przedmiotu. Tu konieczną jest rzeczą powody i fundamenta twierdzeń przeciwnego obozu poznać i warowność takowych w świetle rzeczywistej prawdy odważyć. Jakieżto tedy są owe powody i fundamenta?

Na nieszczęście, trudno bardzo się z nimi spotkać! W całej zupełności nie wyłożył ich nikt dotychczas. Choć już o nich mówił nie-

jeden i przy różnych sposobnościach, to tak jakoś nawiasowo i zawsze tylko że tak powiem półgębkiem, że widać ze wszystkiego, iż tam poczucie ciemne przyczyny takiej pisowni, a wyrozumowana umiejętnie świadomość tejże przyczyny, żadną miarą nie idą ze sobą w parze.

Najczęściej, i przynajmniej w porównaniu z drugimi najgruntowniej podejmował tę sprawę X. Malinowski w Poznańskim, w rozprawach swoich zamieszczonych w dwóch pierwszych tomach Rocznika Towarzystwa P. N. poznańskiego. Im więcej uczoność i pracowitość tego męża poważam, a zacność charakteru uwielbiam, tém mi boleśniej, że i jego między zwolennikami tego obozu znajduję i obecnie do sporu naukowego z nim się widzę zmuszonym. X. M. uzasadnia konieczność pisania wyrazów *jimie* itp. przez *ji*, ile wyrozumieć mogłem, przez to, że ta samogłoska *i* wedle niego w polskim języku na początku zgłoski inaczej się nie wymawia jak *ji*. A zatem na brzmieniu ostatecznie argumenta swoje zasadza — „Samogłoska *i* w starosłowiańskim, rosyjskim i polskim języku *nie jest bynajmniej* tak jak np. w greckim, łacińskim lub niemieckim, samogłoską czystą, wymawianą z przydechem cienkim (? raczej żadnym!), lecz zawsze i wszędzie — z wyjątkiem spółnika *i* (et), który zygmuntownscy pisarze pisali przez *y* — zgłoską *ji* tak na początku wyrazu, jak i w środku po samogłosce“...*) „Nie jest bynajmniej“... Jak to rozumieć? fonetycznie czy etymologicznie? Z zestawienia innych miejsc z sobą okazuje się, że fonetycznie. Tak np. mówiąc o Suchorowskiego gramatyce, w której zaleconą jest pisownia *mojich*, *stoi*, a przeciwnie *im*, *ich*, *iści*: gani go za to X. Malinowski i zapytuje: — „*Nie słyhaćże tu* (w *im*, *iści*) równie jak i w *mojich*, *stoi*, spółgłoski *j*?“ **) „Nie słyhaćże tu,“ mówi X. Malinowski — więc ma widocznie na względzie właściwości jedynie fonetyki! — Jestto piętnem, mówi przy innej znowu sposobności, samogłoski *i*, „że my Polacy *wymawiamy* ją od dzieciństwa w żywej mowie zawsze w połączeniu ze spółgłoską *j*, tak iż nasze *i* (na początku sylaby? czy zawsze?) *brzmi w ustach naszych* istotnie jak zgłoska *ji*“ „Ściśle przeto i umiejętnie rzecz biorąc, postać (litera) *i* powinnyaby oznaczać (tylko) czystą samogłoskę bez *j*, tak jak ją wymawiają Niemcy, Czesi i południowi Słowianie;... tak jak wy-

*) Rocznik T. P. N. P. tom II. str. 30.

**) Tamże str. 59.

mawiają ukształceni Wielkopolanie spółnik *i* (et), a nie jak Chełmniacy *ji*.^a Przeciwnie (domawiam reszty tego zdania w sensie autora, czego tenże zaniedbał) przez *ji* pisać mamy te wszystkie brzmienia, gdzie obie głoski w połączeniu słyszeć się dają, to jest na początku wszystkich wyrazów i zgłosek od *ji* się poczynających. *)

We wszystkich tych przytoczeniach, których liczbę mógłbym jeszcze powiększyć, lecz nie na tém nie zyskując, widzimy, że się autor nasz ciągle tedy tylko w sferze fonetyki porusza.

Ponieważ zaś fonetyczne powody są zawsze bardzo kruchém narzędziem w ręku pracującego nad dowiedzeniem jakiegokolwiek głębszej zasady gramatycznej, więc téż w poczuciu tego niedostatku bierze sobie szanowny antagonistą nasz w pomoc i inne jeszcze okoliczności. To jest, odwołuje się do powagi Dobrowskiego i do analogii z kirylicą. Dobrowski w swoim dziele *Institutiones linguae slavicae*, wyraził się przypadkowo i przy zupełnie innéj sposobności, że Ъ (*y*) od И (*i*) tak się różni, jak *a* zwyczajne od *ja*. Wywodzi tedy z tego nasz autor, że i Dobrowski w przybliżeniu podobnie już samogłoskę *i* pojmował, jak on ją pojmować każe. Do kirylicy zaś o tyle odwołuje się X. Małinowski, że zdaniem jego litera И (naszemu *i* odpowiednia) „istotnie i graficznie składa się z dwu połączonych ze sobą krósek (lasek), z których pierwsza oznacza spółgłoskę *j*, druga zaś czystą samogłoskę *i*.“ Z czego tedy ma wynikać, że i twórca kirylicy *i* jako *ji* pojmował.

— Na to wszystko odpowiadam, co następuje:

Kirylicka litera И bynajmniej nie może być uważana za połączenie dwóch krósek; albowiem nie jest ona właściwie niczém inném, jak wielkiem greckim eta. W czasach, kiedy kirylica powstała, dwa były znaki w greckim alfabecie na oznaczenie *i*: Ι i Η. Boć jak wiadomo, tylko w starożytnych wiekach miało eta znaczenie długiego *e*; później i już za czasów bizantyńskich się to zmieniło. Owoż wziął wynalazca kirylicy znak ety (Η) na oddanie w słowiańskim samodzielnej samogłoski *i*; a znaku greckiej ijoty (Ι) użył do jotowych słowiańskich kombinacji (И, ІО itp.). To zdaje mi się jest jasne i dalszego dowodzenia nie potrzebuje.

Gdyby И w kirylicy rzeczywiście było znakiem zgłoski *ji*, to np. forma РЫБАМИ brzmiałaby i znaczyłaby więc *rybamji*. A tego przecież nikt na seryo twierdzić nie zechce!

*) Rocznik Towarzystwa tom I., str. 14 i nast.

Co się tyczy apelacyi do Dobrowskiego, nie wątpię, że temu uczonemu, kiedy pisał com wyżej przywiódł, o nic innego nie chodziło, jak tylko o wyrażenie, że *y* (ʻbi) jest w starosłowiańskim języku samogłoską twardą, a *ii* (i) „płynną“ czyli po naszymu miękką. Chciał zaś dla większej dobitności wyrazić tę myśl swoje i przez porównanie i powiedział: że między *y* a *i* w rzeczonym sensie jest taka sama różnica, jaką widzimy między *a* a *ja*. Nie bez słusznych powodów od dawien dawna weszło w przysłowie, że omnis comparatio claudicat. I powyższe téż porównanie było tylko do połowy pożytecznem i trafnem. Kulawą i zdolną każdego zbałamucić drugą stronę rzeczonego porównania stanowi to, że godziłoby się każdemu taki tedy wniosek wyciągnąć z wyrzeczenia owego: A zatem *i* powstało z *y* i jest tylko jotowanym ypsilonem, a nie pierwotną samogłoską, skoro tak się ono ma do *y*, jak *ja* do *a*. A że to byłoby zupełnie błędnem, to przyzna i mój czcigodny przeciwnik i każdy inny; a Dobrowski, gdyby żył, przyznałby to przed wszystkimi. Nie można tedy z téj strony żadnych podpór oczekiwać na korzyść mniemania, które tu rozbieramy.

Przystępuję wreszcie do rdzeni rzeczy w wywodzie X. Malinowskiego. Pytam się, czy fonetyka, czy istotne brzmienie wyrazów *igła*, *imię*, *inny*, czy słuch nasz, czy wymawianie narodowe potwierdza i usprawiedliwia jego twierdzenie? Kto to wymawia *jigła*? *jich*? *jinny*?! Znam całe Poznańskie wszérz i wzdłuż. Żyłem przez długi czas w Krakowie, od lat 11 siedzę we Lwowie i zdaje mi się, że znam sposób wymawiania całej Galicyi. Nie jest mi także nieznanem i wymawianie właściwe Warszawianom, Królestwu, a nawet Litwie i zabranym prowincyom. Powiedzieć muszę, że nigdy nie słyszałem wymawiania *jigły* i *jimienia* z drgawką języka na początku wyrazu; nigdy też nie oboło mi się o uszy, żeby kto inaczej, jak te właśnie wyrazy, wymawiał nasz spółnik *i* (et), który X. Malinowski nie wiem dla czego jedynym w całym słowniku naszym robi wyjątkiem od powszechnej reguły i jakoś go z niemiecka, jak sam powiada, czy z czeska, jakby prawie przez *y* każe wymawiać, a przez *i* pisać — przyganiając Chelmsiakom, że oni i tutaj tremolują *ji*. Wprawdzie przypominam ja sobie, że w szkołach poznańskich mieliśmy profesora, zresztą ze wszech miar męża znakomitych zdolności, który dziwnie pod niejednym względem wyrazy polskie wymawiał. Zamiast Ignacy, mówił Ignacy, zamiast Anielewski, jakoś Anjelewski czy Angielewski, zamiast *najmilszy* — *najmniejszy* czy *najmjejszy* itd. Profesor ten był rodem

z Prus Zachodnich czy z Warmii. Pamiętam, że i między współczynnami naszymi wszyscy prawie z tamtych stron pochodzący mieli w ogóle odmienne jakieś od nas prawdziwych Poznańskich wymawianie. Wzmianka nawiasowa autora naszego o drgawkowatém wymawianiu spółnika *i* w okolicy właśnie chełmińskiej, dziwnie trafia w te moje przypomnienia z lat szkolnych. Możeto tedy tam się nasłuchiwał X. Malinowski wymawiania *jinny* i *jigła* i nawet sam je sobie przyswoił?... Ale mogę go zapewnić, że w taki sposób bardzo mało gdzie w całej naszej ojczyźnie mówią. Gramatyk Żochowski także pochodzić musi ze stron jakichś, gdzie to wymawianie w zwyczaju. Onto dopiero właśnie nakłonił wielkiem „gromieniem“, jakie podniósł w Bibliotece Warsz. przed kilkunastu laty przeciw księdzu Malinowskiemu, znakomitego tego badacza do przyjęcia pisowni, na której niewłaściwość tutaj powstaje. *) Pan Żochowski mówi i pisać każe nawet *jjeść*! A śnać sam się dziwiąc onęj drgawce języka swojego przy *jjedzeniu*, zastanawia się teorycznie nad tém prawdziwie niezwyčajnem w przyrodzeniu zjawiskiem: i zapytuje, czém się to dzieje? Nastrećza mu się, jako odpowiedź, to głębokie w filozofii mowy naszej odkrycie, że *jem* powstało z *jeść-jestem*. Pomysł nie lada! warto go zatrzymać sobie w pamięci...

Rozróżnianie brzmienia *i* jako spółnika, od wszystkich innych *i*, stanowiących początek słowa, należy zdaniem mojem do prawdziwych złudzeń optycznych. Druki nasze z czasów przed Kopczyńskim, od szesnastego wieku począwszy, ukazują wprawdzie prawie zawsze *y*, gdzie my dzisiaj *i* piszemy, w znaczeniu *et*. Drukowano to tak jednakże tylko w chęci odróżnienia tego wyrazu nawet piśmienną postacią od innego *i*, które było zaimkiem wtedy jeszcze używanym i nazyćło *eum*. Zaimek więc było zwyczajem pisać przez *gi*, gdzie *g* w sposób przejęty od Czechów miało znaczenie joty; a spółnik pisano przez *y*. Rzeczywiste jednakże wymawianie było jedno i to samo obu wyrazów, a tylko dla oka czynione sztucznie były różnice, żeby sensu nie utrudniać w texcie piśmiennym. Że co tu mówię, jest prawdziwem: tego dowodzi Knapiusz, w samém sercu zygmuntowych czasów żyjący, który w Thesaurusie swoim gani pisanie spółnika *i* przez *y* i powiada: „cur y scribendum sit, non video“... Zaimek *i* (*eum*) bywał też zresztą pisany bardzo różnie: jedni go pisali *gi*, drudzy *gy*; Seklucyan pisał go to *i*, to *j*;

*) Obacz, co sam X. M. o tém mówi w tomie I. Rocznika Tow. Prz. N. Poznańskiego str. 16.

Bazylik *iy*, a jeszcze inni pisali *ii*, *ji* itd. Z téj niejednostajności tylko to jedno wynika, że wyraz ten brzmiał *i*, a w pisaniu jego było eksperymentowanie po omacku na wszelakie sposoby, a zawsze w tym jednym celu, żeby ten zaimek inaczej na papierze wyglądał, jak spółnik. I bez wątpienia nie dla innéj przyczyny już w końcu 16go wieku na tém stało, że zaniechano zupełnie używać tego zaimka tak w piśmiennéj, jak ustnéj mowie, jak tylko stąd, że mimo te wszystkie różniczki pisowniowe, tożsamość dwu tych wyrazów była zbyt niedogodną. — Znany zaszczytnie i podziśdzien za jednego z piérwszych lingwistów uważany powszechnie *Schleicher* konstatuje nie tylko tożsamość wymawiania, ale nawet etymologiczną jedność wyrazów *i* w obu znaczeniach. *) A ci, którzyby dzisiaj z przypadkowej grafiki naszych przodków zaimka *gi* chcieli ciągnąć wodę na swoje koło i dowodzili, na téj podstawie, historycznego uprawnienia swojej jotującej ortografii czy to w tym zaimku czy w jakimkolwiek innym od *i* się poczynającym wyrazie, grubo się mylą. Bo jeżeliby prawdą to było, że Zygmuntowczycy w słowie *ji* słyszeli i w saméj istocie wyróżniali jotę przed *i*: to dlaczegoż innych przypadków tegosamego zaimka nigdy nie pisali przez *gich*, *gim* itd. lecz zawsze *ich*, *im*? Dlaczego w ogóle żadnego innego słowa przez *gi* w tém znaczeniu nie poczynali piśmiennie? Oto dlatego, ponieważ wszystkie wyrazy polskie od *i* się poczynające, takie w prawdziwie narodowej wymowie miały i mają brzmienie téj samogłoski, jak wyrazy starosłowiańskie, jak włoskie (*ira*, *imagine* itd.), jak francuskie (*isoler*, *ivre* itd.). I nie ma zgola żadnej rzeczywistéj przyczyny, żeby to *i* obarczać jakimś przyrodzoną jego czystość tylko plugawiącym przyrostem.

Lecz dajmy pokój téj empirycznój kazuistyce, a przenieśmy przedmiot na czyste pole teorii. Pisownia, z którą się rozprawiamy, mogłaby tylko polegać na jednéj z dwóch następujących przyczyn, które chciéjmy trzeźwo rozważyć.

Po piérwsze. Ów mniemany przyrost przed *i* mógłby należeć do kategorii przygłosu przed samogłoskami wyraz zaczynającami, czyli jak go inni nazywają, przydechu (*spiritus*). (Porówn. Gram. mojęj większ. §. 48). Czy jednak *j* może kiedykolwiek służyć samogłosce *i* za przygłos, to się jasno okaże, jeżeli tylko zastanowimy się nad tém:

*) Obacz jego *Formenlehre der kirchenslavischen Sprache*, strona 44.

co to jest w ogóle przygłos, we wszystkich językach? — Przygłos jest czémś w gramatyce nie tylko dozwoloném, ale nawet w pewnych razach zawarowaném; lecz pierwszy początek jego wskazuje zawsze w dotyczących wypadkach na pewne tylko wygodnictwo i zaniebdywanie się gęby, która się nim posługuje. Przychodzi on do skutku takim sposobem: Mam wymówić prędko słowo, którego pierwszą głóską jest samogłoska. Powinienbym w milczeniu tak sformować co prędzej swój kanał mowny, jakiego wymaga wymówienie téj samogłoski, i — wtedy dopiero wyraz wymówić. Wtedyby być w tym wyrazie nie mogło żadnego przygłosu. Lecz tak się prawie nigdy nie czyni w mownej praktyce. W chwili, kiedym dopiero zaczął kanał mowny formować w sposób przez wymówić się mającą samogłoskę żądany, już głos (przedwcześnie) wydaje. Wedle tego, w jakim poruszeniu w owéj chwili jest język lub inne poszczególne narzędzia mowne, przychodzi do skutku albo *h*, albo *j*, albo *w*, po których dopiero samogłoska żądana idzie. W kanale naszym mownym trzy tylko są takie miejsca, gdzie się tworzyć przygłosy mogą: początek kanału, środek jego, i koniec czyli ujęcie; to jest: krtan — ta część podniebienia, gdzie się z niem język styka — i wargi. Jeżeli krtan czyli gardło się odezwalo przedwcześnie (przed wymówieniem żądanej samogłoski), to usłyszemy przygłos *h* (*harmata*); jeżeli punkt środkowy podniebienia z językiem: to usłyszemy przygłos *j* (*Jewa, jabłko*); jeżeli wargi, to *w* (*wąs, woko*). Przygłos tedy wskazuje, że tak powiem, punkt wyjścia poruszeń narzędzi mownych ku samogłosce, a raczej ku takiemu gęby naszej złożeniu, jakiego dotycząca samogłoska wymaga; a samogłoska rzeczona wyobraża punkt dojścia i koniec tego szybkiego jak błyskawica ruchu. Pytam się tedy: czy jeżeli mi chodzi o wygłoszenie w kanale mownym samogłoski *i*, mogę zacząć od przygłosu, którymby było *j*? Na coby mi się to przydało i jaką wygodkę miała by stąd gęba moja? Punkt wyjścia i punkt dojścia przypadająby tu bowiem jeden na drugi; gdyż w témsamém miejscu i składzie kanału obie głoski się wymawiają, jak to wyżej udowodniono. —

Po drugie. Zwolennicy przeciwnego obozu mogliby bronić swojej teorii, odwołując się do natury samogłoski *i*, jako głoski w ogóle, bez względu na to, jakie zajmuje miejsce w wyrazie. I dziwi mnie to niepospolicie, że jeszcze żaden z nich dotąd nie użył téj racyi; ze wszystkich bowiem obron, jakieby tylko na ich korzyść wynyślić można, taby niewątpliwie najsilniejsze miała po sobie pozory prawdy. Jak wia-

domo, wszyscy ci gramatycy za przewodem Mrozińskiego zaprzeczają temu, żeby wywierać mogły samogłoski jakikolwiek wpływ na spółgłoskę. Mianowicie twierdzą oni, że zmiękczenie spółgłoski jest zawsze dziełem joty, a nigdy samogłosek. Otóż jeżeli np. z zaimka *on* tworzę liczbę mnogą i otrzymuję za dodaniem zakończenia *i*, formę *oni* (t. j. *oni*, nie *on-i*): to mogę twierdzić — oczywiście ze stanowiska teorii tych gramatyków — że tu nie *i*, lecz *ji* do *on* doczepione zostało. Inaczej bowiem nie byłoby przyczyny, dla której twarde *n* przemieniło się w *ń*; sama samogłoska *i* bowiem w ich przekonaniu przeistoczeń takich dokonywać nie może. A że się to zjawisko głosowniowe powtarza, gdzie tylko *i* w takie zetknięcie ze spółgłoskami wchodzi: więc każde *i*, z natury i zawsze, jest *ji*.

Wywodowi temu na logiczności nie zbywa, ale premissy są fałszywe. Teoria zmiękczenia spółgłosek, jako procesu polegającego jedynie na zlewie joty z dotyczącą twardą spółgłoską, jest jednym z najszkodliwszych obłądów w gramatyce. Jot ma niezawodnie tę własność, nie przeczę; ale nie samo jedno. Mają ją i wszystkie tak zwane miękkie, a możeby było lepiej powiedzieć: spłaszczony samogłoski, między którymi *i* najoczywiściej ze wszystkich, nawet podziśdzię jeszcze, te przymioty okazuje, dla których ją ma.*) Przymioty te są fizjologiczne. Stanowi je ta okoliczność, że ilekroć złożę kanał mowny do wymówienia *i*, to ten kanał jest tak spłaszczony, iż żadna spółgłoska w pierwotnym swoim czyli twardym brzmieniu przy rzeczonym składzie kanału wygłosić się nie daje, lecz przechodzi w odmienne brzmienie, jakiego właśnie jest zdolna. Np. *s* przed *i* i z nim razem żadna gęba polska, pozostawiona w stanie natury, nie wymówi inaczej, jak *śi*. Że my wykształceni możemy także i z łacińska *si* (twardo) wymówić, to prawda; lecz to tylko jest już wpływem nauki obcych języków, która nas obdarzyła pewną gimnastyką narzędzi mownych, zdolnych obecnie wykonywać i trudniejsze dla gęby naszej obroty; naszego zaś twierdzenia okoliczność ta nie zachwiewa.

Że dobra połowa zmiękczeń spółgłosek jest dziełem joty z niemi się zlewającą, tego nie przeczę bynajmniej. Lecz i u spółgłoski *j* własność rzeczona nie idzie skąd inąd, jak tylko stąd, że ją ma i samogłoska *i*. Jot o tyle i przeto tylko miękczy spółgłoski, o ile jest wy-

*) Na *e* tego już tak dobrze nie widać. Nasze dzisiejsze *e* jest środkiem między tymi wszystkimi odcieniami *e*, jakieśmy mieli pierwotnie.

robem z materyału samogłoski *i*; a co ważniejsza, dokonywa téj władzy swojej jedynie w chwili swego zrodu, swego jeszcze ze samogłoską *i* zespolenia. Bo później, kiedy już stwardniało i stęgniało na zwycaijną spółgłoskę: wtedy i ono już nie zmiekczy żadnego głosu, jak tego dowodzą formy *zjeść, zjazd, zdjąć, podjąć, rozjąć* i wiele innych podobnych.

Nasi starsi gramatycy, ile przywykli do własnych zapatrywań — uznać tego wszystkiego pewnie nie zechcą. A zacny mój przyjaciel, któremu tylekroć tu już po imieniu wspomniał, w krytyce Gramatyki mojej, którą mi on w rękopisie i nie przeznaczając jęj do ogłoszenia, nadesłać raczył, surowie mię za to skarcił, że m wystąpił z tą teorią miekczenia spółgłosek przez samogłoski. Ja sobie pomimo tego jednak za największą z jakichkolwiek zasług mojej książki właśnie to poczytuję, że m tę rzecz do zasady generalnej sprowadził i wyraźnie a dobitnie pierwszy powiedział. A umacnia mię w przekonaniu, że się nie pomyliłem, i to co widzę w znakomitę, zacytowanę tu już raz dziele uczonego Schleichera. Na stronie 85 wypowiada tam i Schleicher przekonanie swoje o zmiekczeniu spółgłosek zupełnie w duchu X. Malinowskiego i powołuje się na jedną z dawniejszych swych monografij, w której z całą stanowczością dowodził, „dass die so genannte Erweichung der Consonanten in allen Sprachen eine Wirkung des *j* ist.“ On to nazywa Zetacyzmem. A na str. 150 tegoż dzieła sam przecież jednak potężnie ogranicza tę zasadę Zetacyzmu i cofa ją po części. Znašliły go do tego bijące w oczy zjawiska w obrębie gardłowych spółgłosek w starosłowiańskim. Gdyby był miał przed sobą nasz język, gdzie i inne spółgłoski tak łatwo zmiekczeniu podlegają, jak w starosłowiańskim gardłowe, toby musiał jeszcze bardziej zbliżyć się do mojej teoryi. W każdym razie niemaléj wagi jest rzeczą, że badacz tak bystry i gruntowny na dole w nocy na wyż wzmiankowanej stronicy sam przyznaje niedostateczne jeszcze zgłębienie zetacyzmu w starosłowiańskim narzeczu w owęj dawniejszej swęj monografii.

Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia punkt trzeci, dotyczący spornej ciągle jeszcze pisowni cudzoziemskich wyrazów. Jedni piszą *tragedya, Hiszpanija*; drudzy *tragedya, Hiszpania*; trzeci *tragedja, Hiszpanja*. Którzyż tedy piszą najlepiéj?

Nie wdając się w błahe zatargi o akcent tych wyrazów, które prawdziwie nazwaćby można klótnią o kozią wełnę, chociaż około nichto prawie wyłącznie kręcą się dotychczasowe wywody i stąd niewiści wzajemne naszych jak się sami tytułują „gramatykarzy”: spojrzmy na kwestyę ze stanowiska najpewniejszego w razach podobnych, to jest ze stanowiska historyczno-porównawczego.

W greckim i łacińskim języku wyrazy *tragoedia* i *Hispania* są czterozgłoskowe. W tej postaci weszły też one w skład spolszczonych wyrazów i wymawiały się przez bardzo długi czas i u nas nieinaczej, jak tylko zawsze czterozgłoskowo. Zygmuntowskie druki ukazują je w takim kształcie: *tragedya*, *Hiszpania*. Widzimy tu wszystko spolszczone, co tylko się spolszczyć dało: *oe* zamieniło się na *e*, *di* na *dy*, *spa* na *sza*, gdyż tak tego duch języka wymagał. Ostatnie dwie zgłoski, w każdym wyrazie, wymawiały się dwoiście: jakby *dyja* i *nija*. Wymawianie pod względem akcentu było także spolszczone, paroxytonon, t. j. z przyciskiem na przedostatni.

Aby się o tém wszystkiem przekonać, zajrzyjmy do poetów. Oto kilka przytoczeń z Piotra Kochanowskiego. W Jerozolimie Wyzwolonéj np. powiada on, że armata (flota) Gofreda

Owsi, jęczmiony i chleby z *Greycyey*,
A wina z Chio wiozła i z *Kandyey*.

Rymujące się wyrazy nie tworzyłyby wcale rymu, gdyby się nie wymawiały paroxytonon i trzyzgłoskowo, co też i rytm tego wiersza potwierdza, który jest jedenastozgłoskowy. Wszystkie inne miejsca podobne w tym poemacie do tychsamych rezultatów prowadzą.

W Orlandzie Szalonym, który jest ułożony wierszem 13zgłoskowym, także zawsze i wszędzie takie tylko znajdujemy przykłady:

I jeśli nie tykając ziemię kto z *Indyey*
Może przejść do *Francyey* albo do *Angliey* . . .
Ale iż się zaś wielka stąd *Etyopia*
Rozciaga i pośrodek sam daleko *miia* . . .
Które jedno *Juliusz* odniósł we *Francyey*,
W *Hiszpaniey*, w Afryce, albo w *Tessaliey*.

Nie może mieć tej sławy wielki *Oktawiusz*
 Ani, co się z nim spiera o świat, *Antoniusz*.

Wszystkie te wyrazy, pochyłym odbite drukiem, widocznie mają akcent na przedostatniej i po tyle zawsze zgłosek, ile ich mają w łacińskim języku.

Takie używanie wyrazów cudzoziemskich widzimy bez wyjątku u wszystkich zygmuntońskich poetów. Oto jeszcze kilka przykładów z Jana Kochanowskiego:

Przeszedłem już *Amfiona*
 I lutnistę *Aryona*.

Wiersz jest ośmioletkowy, rymujące wyrazy mają tedy po 4 zgłoski.

Nie zawżdy, piękna *Zofia*,
 Róża kwitnie i *lilia*.

Po co wy heretycy w kościele bywacie,
 Kiedy *ceremonie* za śmiech sobie macie?
 Jeśli zła w oczu waszych msza i *procesya*,
 Aza lepsze łakomstwo i ta *ambicya*?

Poradźmy się rady *czyiey*,
 Kołnierzli to u *deliey*
 Czy *delia* u kołnierza
 Na grzbiecie cnego rycerza?

To wystarcza, żeby zawnioskować z całą pewnością, że w wieku 16tym wymawiano zatem u nas wyrazy, o których tu mówimy, z akcentem na przedostatniej i z liczbą zgłosek pełniejszą, t. j. odpowiednią łacińskiej — zupełnie jak to podziśdzień jeszcze nasz lud pospolity wymawia.

Dlaczego *deliey* nie napisano *deliey*, kiedy pisano *czyiey*? dla czego u Piotra K. *Etyopia*, rymując z polskim wyrazem *miia*, i samo nie napisane jest *Etyopiia*, a jeszcze logiczniej *Etyopiia*? na to z pewnością odpowiedzieć nie umiem. K. Malinowski jest tego zdania, że powodem tego była nieznamość w owych czasach jeszcze spółgłoski *j*, którą byliby tu Zygmuntowczycy pisali, gdyby ją byli mieli w swém abecadle. Wykład ten jednak nie okazuje się trafny. Skoro Jan Kochanowski umiał napisać *czyiey*, a Piotr *miia*, zastępując brak

j przez *i*: to byliby potrafili i *deliicy*, *Etyopia* napisać — gdyby byli czuli to samo brzmienie i tutaj. Zdaje się wszakże, że go w takiej pełni nie czuli, jak w wyrazach prawdziwie polskich, choć takowe tak się do tamtego brzmienia zbliżały, iż sobie pozwalali nawet rymować łacińskie słowa z polskimi.

Bo mylnie to jest mniemanie, żeby rozziw w języku naszym nawet w przyswojonych wyrazach koniecznie musiał być uchylany przez wsuwkę *j*. Przeciwnie, to się nawet nigdy nie zdarza, z wyjątkiem wypadków po samogłosce *i*, gdzie zachodzi wątpliwość. I tak: że po *a* rozziw się znosi, tego dowodzi *Faeton*, *Izrael*, *Faon*, *Faraon*, *Naum*, *Kafarnaum*; że po *e* rozziw nie zawadza, to widać z przykładów *Beata*, *Eneas*, *ideal*, *idea*, *ideę*, *idea*, *ideom* [tylko w formie przyp. I. l. mn. „*ideje*“ musi być *j*, którato forma w każdym razie jest właściwsza niż „*idey*“ stworzone przez naszą Gazetę Narodową] *Eleonora*, *Leon*, *eolska* (harfa), *neutralny*, *Europa*, *Deukalion* itd. że po *o* wsuwek bynajmniej nie potrzeba, tego nas uczy *poeta*, *poetyza*, *oaza*, *boa*, *Loara*, *trotoar*, *repertoar*z itp.; że po *u* rozziw cierpimy, przekonywa nas *statua*, *Kapua*, *Genua*; że po *y* nawet jest rzecz prawie jeszcze tasama, to okazuje *tryumf*, *dymant*, *Dyogenes*. Po *i* tylko z przyczyn fizyologicznych zdaje się *j* być potrzebnem, choć i tutaj w niektórych razach przecie zachodzi wątpliwość, czyby się inaczej pisać i mówić miało, jak np. *Ni obe*, *Ni agara*, *hiatus*, *fi olek*, *Plini usz*, *geni usz* itp. W podobnej więc wątpliwości byli snąć i Zygmuntołowcy, a to nie tylko co do przykładów powyższych, lecz nawet co do całej mnogości wyrazów, jak *tragedya*. *Hiszpania*: i dlatego niezawodnie pisali je tak tylko — pomimo nawet, że je akcentowali paroxytonon, przez co *j* więcej tutaj niż w innych razach ucho uderza. . .

W późniejszych wiekach, zwłaszcza począwszy od czasu reformy Konarskiego, zaczęto u nas lepiej uwzględniać poprawną łacińską akcentuacją takich wyrazów i wymawiano je już stale z akcentem na trzeciej zgłosce od końca. Z czego wynikło mimowolnie, że się dwie owe zgłoski ostatnie (np. *dy-a* w *tragedya*) więcej do siebie zbliżyły i prawie tak wymawiały, jakby były ściągnięte w jedną sylabę. W okresie jednakże nawet jeszcze Stanisławowskim aż włącznie do X. Warszawskiego, snąć uważano takie ściąganie rzeczonych zgłosek za coś tylko chyba w potocznej mowie zdarzającego się, albo też za nadużycie, za illuzją nareszcie akustyczną. Widzimy bowiem, że poeci,

jak Krasicki, Trembecki, Feliński i inni tychże współcześni, zawsze wyrazów takich w wierszu swoim używają z pełniejszą liczbą zgłosek (np. *tragedya* czterozgłoskowie), choć akcent u nich jest już stale na zgłosce wyrazu trzeciej od końca, a nie na przedostatniej.

Gdyby rzeczy w takim stanie były zostały względem tych cudzoziemskich wyrazów aż do dui naszych, to sędzę, że pomimo wszelkich wątpliwości, jakie się tu mogły nastęrczać, nie byłoby jednakże obecnie sporu, jak się wyrazy owe pisać powinny. Od czasu wprowadzenia do alfabetu naszego litery *j*, co się Szopowiczowi, Felińskiemu i Lelewelowi zawdzięcza, pisownia *tragedyja* i *Hiszpanija* byłaby niewątpliwie wzięła górę nad wszystkimi innemi.

Lecz — na nieszczęście gramatyków — ten stan rzeczy się zmienił. W wieku obecnym 19tym, ściągające wymawianie dwóch owych sylab (*dy-a*) jak jednej, powoli do tego stopnia się zagęściło i wzięło górę, że ten sposób wymawiania przeszedł i do książkowego języka, co mówię, nawet do najuroczystszej poezyi; tak iż obecnie z całą nacznością i pewnością matematyczną dowieść się daje, że to nie illuzya akustyczna, ani narów ludzi błędnie mówiących po polsku, lecz wymawianie powszechne, nie wyjmując najlepszych nawet mistrzów słowa w języku naszym.

Tak np. w całej *Maryi* Malczewskiego ten wyraz „*Marya*“ użytym się okazuje zawsze jako dwuzgłoskowy.

„Nie, *Maryo!* nie trza wzdychać — twego nie obrażam,
Mężny jest i cnotliwy — wiesz, że go poważam.
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi,
A kiedy łzami *Maryi* swoje serce żywi...”

Gdybyśmy tu *Maryi* chcieli liczyć za słowo trzyzgłoskowe, to psulibyśmy cały 13zgłoskowy porządek tych wierszy. Ma się zaś w tym poemacie rzecz w tenże sposób i ze wszystkimi innymi podobnymi wyrazami.

Inni poeci Mickiewiczowskiej epoki po największej części używają wyrazów tych, jak się zdarzy, to w formie ściągniętej, to po dawnemu. Mickiewicz sam najczęściej tak ich używa:

Wojsko broniło Litwę murami żelaza
Przed wieścią, dla *Rosyi* straszna, jak zaraza.
Tu „*Rosyi*“ zapelnia 3 zgłoski w wierszu.

Wtenczas kim był, wyznawał: był *legionistą*...
 — I dziwniejsze od baśni *historye* gadał..
 i gdzie w wiecznej wiosnie
 Pachnące kwitną lasy, z *legią* Dunaju
 Tam wódz murzyny gromi..
 -- I słowa *liturgii* takim wyrzekł tonem...

Jak widzimy, wszystkie przykłady powyższe ukazują brzmienia z pełną, t. j. łacińską ilością zgłosek. Nie brak jednakże i u Mickiewicza na ściągniętych formach, np. w *P. Tadeuszu*:

Wy Polaki, ja Ruski! teraz się nie bijem —
 Jest *armistycyum*, to my razem jemy, pijem...

gdzie *cyum* (w *armistycyum*) jedną zgłoskę stanowi.

U Słowackiego najczęściej zdarzają się formy ściągnięte; bezwyjątkowem to jednak bynajmniej nie jest, gdyż niemałą liczbę i takich wierszy z dzieł jego przywieśćby można, jak np. te:

Bo pewnie na nim są. Więc *Amfitryon*
 Starosta bardzo przytoczył ciekawie
 To, co o żonach rzekł filozof Bion...

Druga pieśń stała — przez niańkę śpiewana,
 Natrętnie dzwoniąc imię *Zoryana*...

Sawa, co w pieśni méj gra *Dyomeda*
 Rolę i może zająć długie księgi...

Przez inne kręte i ciemne ścieżeczki
 Brnąc po pas w różach, *liliach*, lewkonii.....

Wszystkie tu użyte, odmiennym drukiem wyrażone słowa, zapełniają swoje kompletne ilości zgłosek. Niezliczona by się jednakże ilość okazała u Słowackiego i takich wierszy, jak np. następujące:

I dotąd ciągle na powietrzu błąd
 Widzi wzniesioną perłę *Herodyady*.

Dobrze obrane miejsce na dziewiczą
Schadzkę z *Egeryą* jaką tajemniczą...

Rzekł: — Więc ty wszystko wiesz, i tę *decyzję*,
Która już teraz zatrzymana w niebie,
O której miałem taką straszną *wizję*,
Żem stracił rozum. . . .

W tych wszystkich i niezliczonych innych razach widzimy formy
ściągnięte. —

Z powyższego zestawienia faktów wynika:

że wymawianie wyrazów, o których mowa, już od najdawniej-
szych czasów było u nas wątpliwem, a to pod tym względem, że znaj-
dywanie się w nich joty przed zakończeniem *a* itp. było i jest w nich
o wiele mniej dobitnem, aniżeli w wyrazach polskich;

że do téj wątpliwości przybyła za czasów naszych druga, to jest
co do ilości zgłosek;

że exystencya form ściągniętych nie jest bynajmniej urojeniem,
jak się niektórym gramatykom zdawało, ale faktem, którego oni za-
przecaniem swoim nie zdysputują w niwecz; nakoniec

że obydwa sposoby wymawiania, ściągnięto i nieściągnięto, są ró-
wnocześnie w zwyczaju, choć w potocznej mowie dziś już stanowczo
przeważają formy ściągnięte.

Z tego zaś wynika dla ortografii rezultat taki, że najwłaściwszą
będzie dla tych wyrazów pisownia,

która tę chwiejność i dwoistość ich wymawiania najlepiej i dla
oka przedstawia, pozwalając wymawiać każdemu, jak się podoba,

która się najwięcej zbliża do ich łacińskiej pisowni,

która u nas jest tradycyjną, przez wieki całe przed Kopczyń-
skim praktykowaną, przez Deputacyą Towarzystwa Warsz. Przyj. Nauk
narodowi zaleconą, i nawet podziśdzien w porównaniu najwięcej je-
szcze rozpowszechnioną,

która nakoniec pomimo wszystkich niedogodności, jakieby i jój
także wytknąć można, w porównaniu z drugimi jednak najmniej się
okazuje wadliwą, a zatem nie może być wypieraną przez pisownie pó-
źniej dopiero wymyślone, jeżeli takowe jeszcze ważniejszym podlegają
zarzutom, niżeli tamta.

Pisownia Szopowicza i Muczkowskiego (przez *yja*, *ija*) w tém
mianowicie jest wadliwą, że przesądza w każdym wyrazie niewątpliwie

ilość zgłosek całkowitą czyli łacińską. Ilekróć tedy np. poeta w wierszu użyje jakiego wyrazu w formie ściągniętej, co dziś prawie zawsze się zdarza: to już tam téj pisowni przyjąłby nie mógł, jeżeli wiersz jego np. 13zgłoskowy nie ma być tym razem zepsuty i aż 14 zgłosek obejmujący... Skądinąd jednakże przyznać trzeba, że gdyby nie ta niedogodność, pisownia ta zupełnieby odpowiadała duchowi głosowni polskiej. I w każdym razie, gdzie o to chodzi, żeby forma nieściągnięta jako taka dobitnie była wyrażona piśmiennie, może ona bardzo słusznie być zastosowywana. *) Jeden wszakże powinien koniecznie przy tém być przestrzegany warunek. Formy zakończone na *i* (np. *tragedyi*, *hiszpanii*) nigdy, podług téj nawet pisowni, nie powinny być pisane przez *ji* (*tragedyi*). Ktoby tak bowiem je pisał, dopuszczałby się owęj prawdziwéj herezy gramatycznej, wytkniętej w zakresie dwóch pierwszych punktów mojej obecnej rozprawy.

Druga pisownia, która owę przez Deputacyą Tow. Prz. N. zaleconą radaby wyprzeć, jestto owa pisanina dotyczących wyrazów przez samo *ja* (*tragedja*, *Hiszpanja*). Pisownia ta, jak każde zielsko, prędko się przyjęła i rozburmistrzowała: zachwasciła obecnie wszystko już prawie gazeciarstwo i dziennikarstwo Galicyi wscho dniéj! Pojawiła się pod nieszczęśliwemi auspicjami — jest darem Gramatyki Suchorowskiego! a raczéj, jak złe języki powiadają, tak zwanéj Gramatyki Suchorowskiego. Choć się jednak tak spodobała Lwowianom, a między gramatykami panu Łazowskiemu: to przecie nie śmiałybym wróżyć jéj długiego panowania. Mam bowiem przekonanie, że rzecz, niemająca żadnej podstawy, do czasu tylko może głowy zawracać. Przewiduję, że z dzisiejszą generacyą redaktorów pism lwowskich pójdzie ona do grobu — rychléj zapewne nie... Trudno zaprawdę było wymyślić mniéj racjonalną grafikę! Ma ona to niby wyobrażać owe spolszczone wyrazy podług form ich ściągniętych. Lecz to nie są formy ściągnięte, ale chyba poprzetręcane; są to formy, które opłaciły to swoje nowomodne skrócenie — męczeństwem! kosztem samogłosek, które choć do źródłosłowu należą, to jednak iść na odstawkę musiały na rozkaz gramatyka. Tak np. w wyrazach *Indye*, *Hiszpania* należą samogłoski *y* i *i* do źródłosłowów, i jako do nich należące, powinnyby być nie-

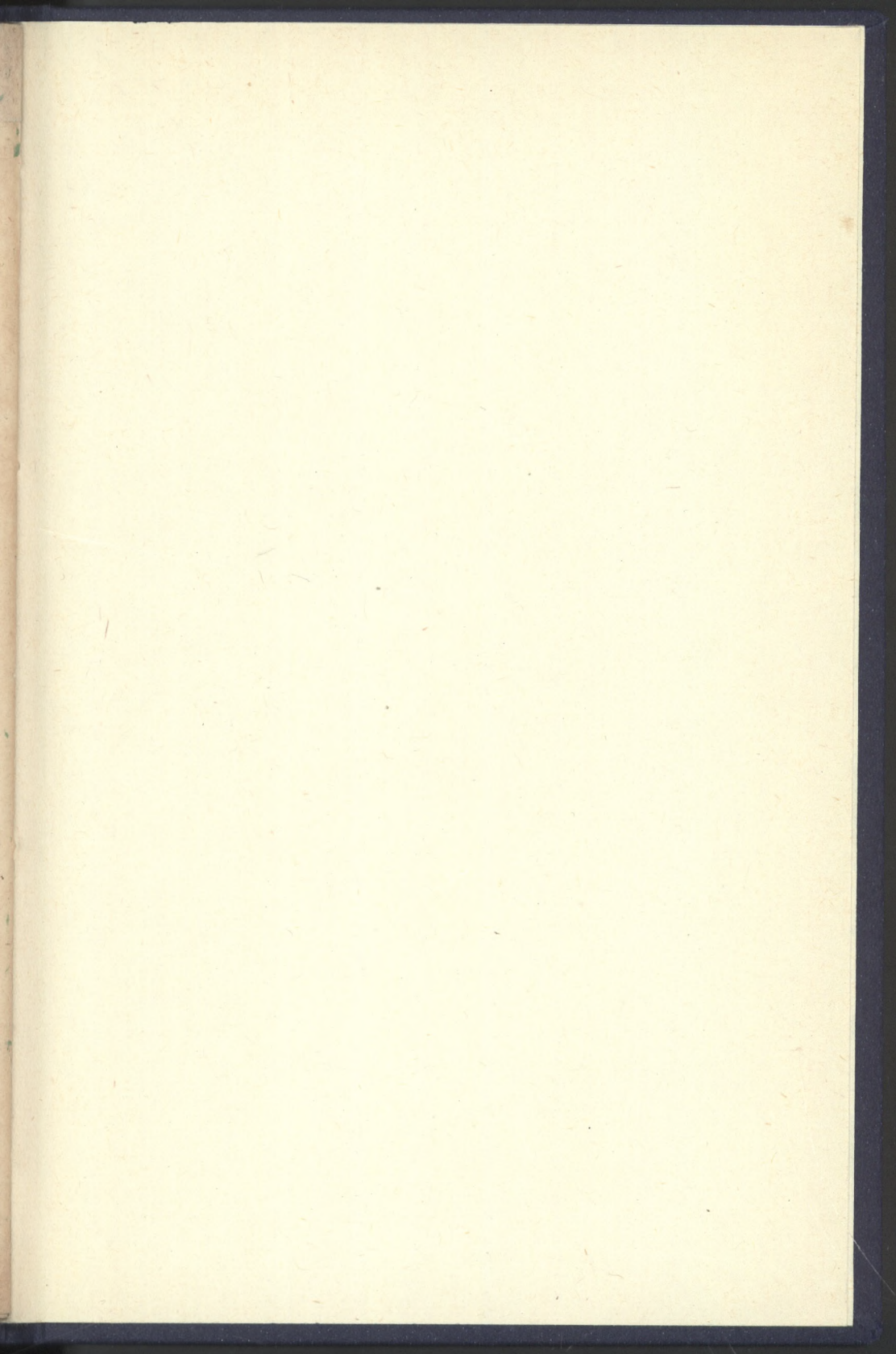
*) Téj zasady trzymałem się nawet i ja sam już w wydawnictwie dzieł pozgonnych Słowackiego, odróżniając tam zawsze ortograficznie formy słów cudzoziemskich ściągnięte od nieściągniętych.

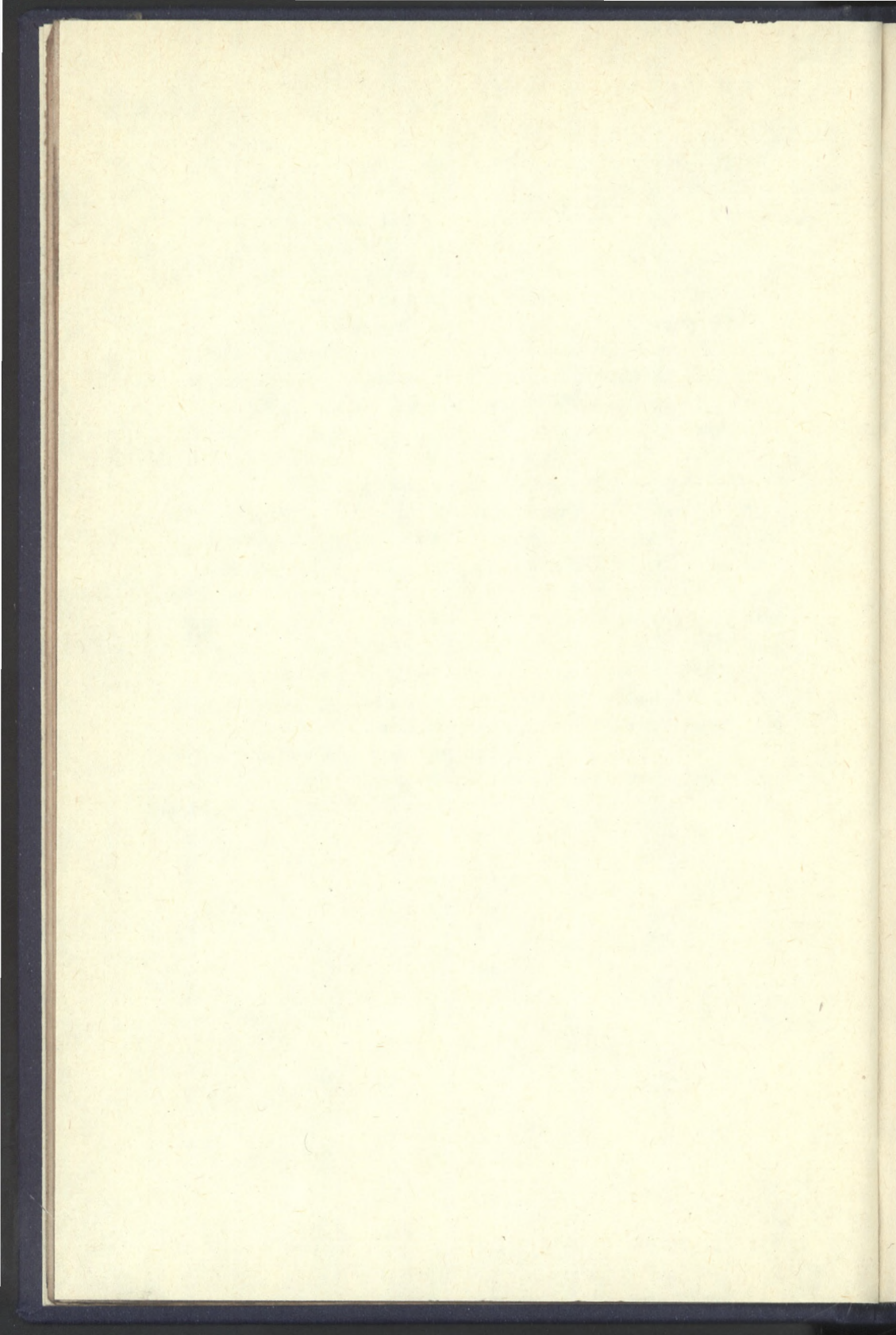
tykalno. Tymczasem gdzieżto się one podziały, jeżeli pisać te wyrazy będziemy *Indje*, *Hiszpanja*? Zginęły! Szkoda to wielka, ale niechby wreszcie i tak już było, jeśli tego konieczność gramatyczna wymaga. Lecz cóż będzie wtedy z przymiotnikami, jak *indyjski*, *harmonijny*? albo z rzeczownikami zdrobniałymi, jak *komeidyjka*, *linijka*? Tu się owe niewidzialne tam samogłoski przecie pojawiły na nowo.* A zatem one jednak rzeczywiście nie zginęły! Więc to była tylko zabawka w ciuciubabkę: przekryły się! A na jakiej zasadzie? Możeż to być?— A przypatrzmy się też jeszcze temu wyrazowi *Hiszpanja*. Czy brzmi on tak w ustach naszych, jak to tu napisane? Bynajmniej. W wymawianiu musi być koniecznie *ń*, a tu jest *n*. *Hiszpanja* wymawiać by się musiało koniecznie, jak nie przymierzając *pan-ja*, lub *Jan-ja*. To chyba więc będziemy raczej pisali *Hiszpańja*, *mańja*? Ale to wtedy i *szalw'ja*, *Arab'ja*, *kop'ja* i *mum'ja*, a nawet *paraf'ja* z kreskowanemi chyba spółgłoskami pisać zaczniemy, jeżeli nam chodzi o to, żeby nas kto nie obwiniał o brak zgodności z samymi sobą. Lecz i to nawet nic nie pomoże, wiklemy się bowiem w coraz gorszych niekonsekwencyach. Jakże bowiem napiszemy wtedy drugie przypadki? Oczywiście *Hiszpańji*, *szalw'ji*, *mum'ji* i *paraf'ji*. Więc znowu spotykamy się z tym zbiegiem joty z samogłoską *i*, którego duch języka naszego nie znosi, jak tego cała esnowa rozprawy naszój dowodzi..

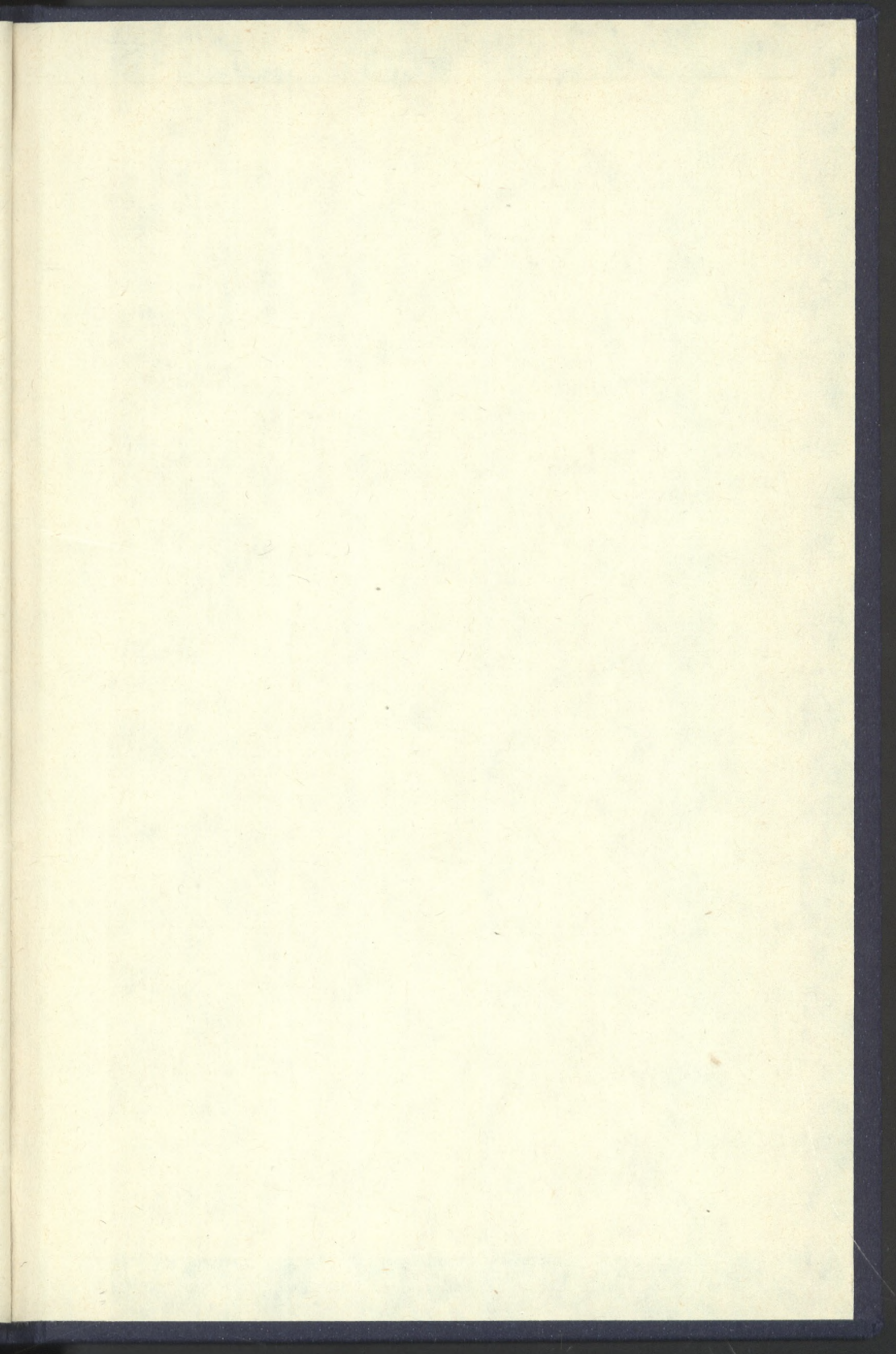
Słowem, co krok, to prawdziwe awanturnictwa gramatyczne! A to wszystko dla urojonej przyczyny, że takie konglomeraty liter, jak *Hiszpanja*, najlepiej na piśmie wyobrażają brzmienie polskie tego wyrazu.



19









2019833

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001012382192